



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Ś.  P.

Marya Paprocka.

Coraz więcej na Bożym świecie grobów się mnoży, nieprzemierzona śmierć, raz ujawniwszy swe dłonie berło władcze na jedną chwilę nie pozwala go wydrzeć sobie. Wiele tajemnic wydarliśmy naturze, wiele z jej sił zagadkowych ujeliśmy w karby i stały się posłuszne woli naszej i czynią tak, jak chcemy bez względu prawie na czas i przestrzeń. Z lekkiej pary rozum ludzki uczynił dźwignię potężną i widzimy poruszone nią tłoki ciężkie; z iskry piorunowej uczynił służebnicę swoją i kazał jej z piorunową szybkością przenosić myśli nasze. Nie widziane widocznie się staje, dawno umarłe głosy i dźwięki po przejściu lat setek będziemy mogli znów słyszeć. Zważyliśmy globy, zmierzyliliśmy niezmierne przestrzenie wszechświata—tajemnica tylko życia i śmierci wciąż jednostajną, nieprzenikloną zasłonę ma na swoim obliczu. Nie potrafimy stworzyć jednego żdźbła trawy, nie potrafimy żdźbła tego zostawić przy życiu, gdy wszechmocne prawo przyrody napisze nam wyrok śmierci. Mimo grozy, mimo protestu przeciwko tej nieuniknionej konieczności zagłady istnienia naszego — kładą się do grobów wielcy i mali, króle i nędzarze, mądrzy i głupi. Największą rewolucjonistką jest śmierć—bo równa stany. Wspaniałe mauzoleum czy skromna mogiła nie tu nie znaczą, we wnętrzu ich—proch!

„Proch jesteś i w proch się obrócisz” wyrok ten od pierwszych dni stworzenia spoczął. kłatwą na całej ludzkości. Gdy więc syci życia do mogił idą, dojmującym bólem nie wstrząsa się nam ser-

ce—nieunikniony to los nas wszystkich, lecz gdy gaśnie życie młode, przestaje bić serce pełne zapamiętań, marzeń i pragnień—gdy marny wypadek przecina nie takiego istnienia—czujemy we wnętrzu swem zgrzyt jakiś, jakby uszczerbku sprawiedliwość doznała.

Takiego uczucia boleści doznaliśmy na wiadomość o śmierci ś. p. Maryi Paprockiej, dość dobrze znanej ogółowi pod przybranem nazwiskiem Znicza lub Płomieńczyka. Talent to był młody ale wymowny bardzo, tem bardziej, że młode lata ani doświadczenie życiowe nie mogły ostatecznie wpłynąć na wyrobienie się jego; mimo to, w znanych nam pracach ś. p. Maryi znać było zdrowy pogląd na życie i nie małą znajomość ludzi. Nieboszczka wstępnym bojem umiała pozyskać sobie przychylność prasy i względy krytyki; życie dalsze i bliższe się z niem zetknięcie, rozszerzyłoby widnokrąg jej pojęć i wprowadzić ją mogło do koła pierwszorzędnym naszych powieściopisarek. Ale w zaczątku lat, u samego progu młodości, która nęci czarami wszystkimi i tysiąc ma do podpatrzenia tajemnic, gdy młody talent coraz bardziej się wzmagal i coraz śmielszym lotem dawał znać o potęgę swojej: dłoń śmierci zamknęła jej powieki, w sposób iście okropny. Utoęła w nurtach Styru, w przededniu wyjazdu do Tatr, gdzie miała poczerpnąć natchnienie do nowej, dużej powieści, przeznaczonej na konkurs „Kuryera Codziennego.”

W chwili śmierci ś. p. Marya Paprocka miała niespełna lat dwadzieścia pięć, urodziła się bowiem d. 2 Lipca 1871 r. we wsi Lipowej, położonej w powiecie Opatowskim, gubernii Radomskiej, z ojca Stefana i matki Saturniny z Foltąńskich małżonków Paprockich. Nauki pobierała w klasztorze Urszuliniek w Krakowie, później spędziła lat parę na tak zwanych kursach dopełniających przy gimnazjum Ś. Scholastyki, gdzie umysł jej dojrzał i szukał dróg sobie, by czemś się zaznaczyć w ogólnem życiu społeczeństwa. Krom studiów pedagogicznych ś. p. Marya Paprocka oddawała się z zamiło-

waniem muzyce i malarstwu, lecz nad dźwięki i barwy, będąc hojnie uposażoną od natury, przeniosła zmuśną pracę literacką.

Nie od razu jednak oddała się piórni; nie miała nawet tej myśli, gdy powróciła w progi rodzicielskiego domu. Zastała w nim ojca złożonego ciężką chorobą po długich latach pracy przy gospodarstwie wiejskiem, dobrobyt był nie świetny, o środki materialne było wciąż trudniej, a młodsze rodzeństwo wymagało wciąż nowych na kształcenie się naukowe wydatków. Widząc troskę rodziców i brak różnych potrzeb w ich życiu, ś. p. Marya postanowiła im dopomóc pracą własną. W tem szlachetnem przedsięwzięciu, za cel życia biorąc na razie zawód pedagogiczny, udała się do Towian na dwór księstwa Karolostwa Radziwiłłów. Trzechletni pobyt w Towianach, pod każdym względem dodatnio wpłynął na umysł i serce nauczycielki. Znalazła się tam w otoczeniu ludzi zaenych, zetknęła się z towarzystwem wykwiśnionem, co pozwoliło jej wnikać w głąb uczuć i pojęć tej warstwy społeczeństwa, piękna zaś biblioteka i zbiory artystyczne, w jakich posiadaniu był dom w Towianach, rozszerzyły jej horyzont widzenia i zrodziły myśl pierwszą spróbowania sił swoich na polu powieściopisarskiem.

Zmysł obserwacyjny przy talencie wrodzonym nie zawiódł autorskich nadziei.

Pierwszą jej powieść p. t. „Fałszywe dźwięki” drukował Wędrowiec, następnie poszły do pism różnych beletrystyczne utwory, jak: „Pamiętnik starego kawalera”, „W przestrzeni”, „Pamiętnik brylantowego kolczyka”, „Marzenie” drukowane w Tygodniku Ilustrowanym i ostatnia powieść dużych rozmiarów, którą świeżo czytaliśmy w „Kuryerze Codziennym, zatytułowana: „Uśmiech życia.” Krom tego dużo luźnych artykułów odnaleźć można w różnych pismach naszych, pisywała do „Wędrowca”, „Ateneum”, „Tygod. Ill.”, „Kraju” i „Kur. Codziennego.” Działalność jej literacka trwała tylko lat trzy; prace jej nacechowane były zawsze miłością bliźniego,

wiarą w zwycięstwo dobra, pobłażaniem dla usterek ludzkich. Lecz piękne słowa szły zawsze z pięknymi czynami, między wygłaszanymi zdaniem a jej życiem rozdziewku nie było.

K. G.

POGA WĘDKA.

Sezon ogórkowy trwa w całej pełni, a jakkolwiek na pozór nie się nie zmieniło w ruchliwej zawsze Warszawie, bo ulice przepełnione tłumem, szczególnie w dni świąteczne. dążącym do alei, ogrodów zamiejskich, na Wystawę, to na kolejkę willanowską—w miejscowym ruchu handlowym jest pewien zastój, panowie subjecki drzemają za konturami, albo, stojąc w progach drzwi świecących pustką sklepów, przypatrują się przechodniom omijającym wystawy galanterijne, nie zatrzymującym się na chwilę nawet przed półkociowymi napisami ogłaszającymi: Wyprzedaj. Czasem ten to ów wstąpi tylko do dystrybucyj, kupi paczkę papierosów, zapali i, odurzając się błękitnawym dymem, dalej rusza—a dokąd? odgadnąć nie trudno. Na początku Ujazdowskiej alei wita zaraz ciebie transparent z napisem: *Miód na szklanecki*. To p. Mieszkowski ulokował się w przetrzebionym już trochę ogródku i wabi przechodniów napojem słodkim i piernikami. Dalej cukiernia Nowickiego w tak zwanym *Versaille'u*, z piękną wieniec otoczoną drzewami, współzawodniczka „Patelni“, od pewnego czasu ciesząc się niemałymi względami publiczności, dalej wiecznie ponętna „Dolina Szwajcarska“ jak pięść do nosa do *szwajcarskich dolin* podobna, tuż za nią zdegradowana trochę „Patelnia“—ogródek jeden i drugi brzmący dźwiękami muzyki, „Bagatela“, „Sorrento“, „Krzaczki“ i tak dalej i dalej możnaby kółkiem przejść całą Warszawę wzdłuż i wszerz, nie przekraczając granic miejskich, a wszędzie, gdzie tylko drzewek parę zostało jeszcze, spotkałbyś kupkę mieszczuchów tulących się do jakiegoś krzaczka, z kufelkiem piwa albo zadumanych nad talerzem zsiadłego mleka.

Każdy, który pozostał w mieście, chciałby jak najdłużej na świeżem zostać powietrzu, boć to ani człek się opamięta jak przeminą dni letnie, przyćmi się blask dzienny, ochłodną złote promienie słońca, szaro znów i smutno na świecie będzie. Korzystają więc ludziska o ile mogą ze skąpych darów lata, a że nie nad każdym fortuna potrząsnęła woreczkiem złota, dając możność nieco dalej wyruszyć: zamiast gór karpacczych Szwajcarskiej szukają doliny, zamiast w cienie lasów się chować, spoczywają pod „krzaczkami“ pana Dzięgielewskiego. Kto żyw, opuszcza ściany mieszkań warszawskich; z musową robotą załatwić się jak najszybciej pragnie i spieszy do pierwszego lepszego ogródka,—gdy można, za miasto, tam, gdzie więcej powietrza, ciszy i ziół zapachów. Uniżony wasz sługa nie jest lepszym od innych, tylko, że nie szuka ogródków i jak najdalej uchodzi od gwaru miejskiego, i tłumów wrzawy, ogarnia go lube lenistwo, *dolce far niente*, nawet książki do rąk nie bierze a o piórze chciałby zupełnie zapomnieć, które go podczas upałów letnich dziwnym wstętem przejmują. Rozkoszą jest wtedy być samemu, wśród zieleni lasów, pod błękitem niebios, dopuszcza się tylko do siebie towarzystwo fajeczki, której błękitnawy dymek całą uwagę skupia na sobie i daje pożądany odpoczynek myśli.

Cóż jest miłszego niż fajka w cieniu,
I cóż miłszego niż cień w upałach,
Gdy, paląc fajkę, siedzisz w milczeniu
I o niebieskich marzysz migdałach?
Do koła widzisz omdlałe zioła,
Czujesz na wszystkim znużenia brzemię,
Jasność paląca zieleń do koła,
Ciężar ołowiu oblewa ziemię.

W morzu ze srebra słoneczna kula
Świeci, rozgrzana, białością mleka—
A tu cień chłodny ciebie otula,
Sen o niebieskich migdałach czeka.
Nad głową ciemny namiot zieleni
Miękkich gałązek chyli się splotem,
Gdzie nie gdzie tylko pasmo promieni
Trąca o listki i dzierzga złotem.
Tu skwarów letnich nie palą żary,
Białością światła oka nie męczą—
Nawet owiane dymem komary,
Stroniąc od ciebie, jak arfy brzęczą.
Do koła czarne cienie się kładną,
Tu i tam słońce nie jasną wplata—
Myśl nie spętana już troską żadną
Z fajczanym dymem ku niebu wzlata.
Wiesz, że za tobą kipi, wre życie,
Czas jednakowe stawia wciąż kroki—
Ty, zatopiony w marzeń błękitcie,
Wonny dym fajki puszczasz w obłoki.
Jak lubo dumać w chłodnym lip cieniu
I snuć marzenia wielkie i szczytne!
Z twarzą ku niebu leżeć w milczeniu
I puszczać sobie kółka błękitne.
Czasem przez dymu białą powierzchnię
Ostry się promyk słońca przesunie—
Owad skrzydlaty wpadnie i pierzechnie,
Płochliwy motyl wleci—i frunie.
Pękają kółka w powiewne wstęgi,
Blask je ozłoci, to znów cień przyćmi—
Nim nowe rzucisz w powietrze kręgi,
Drgają nad tobą srebrnymi niemi.
Łowisz je, chwytasz badawczym okiem—
Nikną i nikną, wciąż cieńsze, bledsze...
Aż znów, owiany wonnym obłokiem,
Kółko za kółkiem ciśniesz w powietrze.
Tak dobrze tobie pod lip tych cieniem
Z utknionem w ciche niebo obliczem,
Z owym spokojem, z owym milczeniem,
Z ową zajętą myślą o niczem.
Czasami tylko nadpłynie zdradnie
Obłok śnieżysty pod tarczę słońca,
I cień ruchomy na ziemię spadnie
I biegnie szybko w przestrzeń bez końca;
Czasem przelotny wiatr wionie nagle,
Ożywcem tchnieniem po czole muśnie—
Spłaczę motylów rozwiane żagle,
Wpadnie w głąb liści westchnie—i uśnie.
I znowu cisza, chłód i cień szary,
Złocą się wstęgi traw aksamitne—
Jak arfy, senne, brzęczą komary,
W powietrze płyną kółka błękitne.

Doprawdy, że taką rozkosz spokoju odczuwać tylko może myśl bardzo zmęczona, nie zawsze tylko śnią się „niebieskie migdały“, które, bądź co bądź, są najpiękniejszym marzeniem w marzeniu. Przyjaciel mój, który, bezprawnie, gdy to pisałem, przez ramię mi zazierał, zdziwił się, że wierszem podobnym chciałem się podzielić z czytelnikami moimi.

— Mój drogi! co to znaczy, po co to i na co?—zapytał.

— Chodząca krytyka—odpowiedziałem—co temu areytworowi zarzucisz?

— Dajmy na to, że nie, ale zadaniem twoim jest pisać artykuły donoszące o sprawach bieżących naszego miasta. Przywołuję więc ciebie do porządku.

— A czy nie wiesz, że obecnie mamy sezon ogórkowy, dzienniki puste a od nikogo nie się ciekawego nie dowiesz. Kto tylko mógł, zwiedził już Wystawę higieniczną i co tylko można było dowiedzieć się o niej—dowiedział się. Zmian tam nie wiele zaszło, nie wiele także nowości. Odbił się wprawdzie turniej piechurów, czyli wyścigi piesze, i na-

wet dość dobrze się powiodł, bo spora liczba zjawiała się widzów, a do zapasów stanęło ośmnastu zwolenników pieszego sportu. Odbita jednak próba dowiodła, że jakkolwiek amatorów wyścigów na piechotę nie braknie u nas, lecz zwolennicy tej rozrywki nie posiadają jeszcze ku temu dostatecznego wyrobienia. Wyścig odbył się pod ścisłym dozorem lekarskim, przed rozpoczęciem zapasów, współzawodników ważono, mierzone wzrost, objętość mięśni anabado puls i działanie serca, lecz—gdy po biegach, powtórzone niektóre z tych badań, okazało się, że czas i przestrzeń należy zmniejszyć, ażeby dalsze próby odbywać się mogły bez szkody dla uczestników. Przestrzeń dwukilometrowego biegu skrócono na jeden kilometr; rekord godzinny na wytrzymałość muszono zmniejszyć na minut piętnaście, piętnasto zaś minutowy bieg na szybkość—ustąpił trzyminutowemu. Mniejsza więc w danej chwili kto otrzymał pierwszą nagrodę, próby te jednak dowiodły, żeśmy nie bardzo wytrzymali, a wytrzymałość w tym wypadku zależy tak dobrze od wprawy jak i od rozwinięcia dostatecznego klatki piersiowej i siły mięśniowej. Jedno i drugie za pomocą gimnastyki da się w pewnej mierze naprawić, ale jedno i drugie, zależy od wychowania higienicznego jeszcze w latach niemowlęcych. W tym czasie właśnie rozwija się przyszłe dobro lub zło, zdrowie lub różne fizyczne niedostatki. Matki nasze, nie patrząc na zmienione warunki wychowania, wychowują dzieci według dawnych tradycji, lekceważąc niejednokrotnie przepisy higieny; najczęściej za przykład stawiają siebie, a czasem ojców i dziadków, którzy wychowywali się bez tych wymysłów nauki. Ale dziadek hasał na koniku a wnuczek już w latach siedmiu nad książką musi siedzieć; dziadek dawał sobie radę w świecie bez greczyzny i filozofii—a wnuczek nie może tych mozołów uniknąć, by później jako tako między ludźmi się obrócić. Zwróćmy tylko uwagę, że trzynaście lat pracy, w chwili gdy dzieciak rośnie a młodzieniec się rozwija—potrzeba nad książką przesłęczyć. Do lat siedmiu lub ośmiu najwyżej dzieciak ma zupełną swobodę, wciagu więc tych lat kilka musi zebrać duży zapas siły i zdrowia, by nadechodzącym trudom mózgu czoło stawić. Rozumne wychowanie, rozumna higiena zaradzić tylko temu może, szczególnie mieszkańcy miast wielkich nie powinni do niej plecyma się odwracać, bo warunki miejskiego życia: brak świeżego powietrza, ciasnota mieszkań i t. d. pod względem fizycznego rozwoju dziecka więcej mu szkody niż dobrego przynoszą.

— Ot, widzisz—zawołał mój przyjaciel—że zawsze coś do powiedzenia znalazłeś.

— Ależ to także nie nowe!

— Nie nie szkodzi—zawsze przypomnienie, rada dobra.

— A czy wiesz, na co się przydają rady dobre?

— Naprzykład?

— Ażeby ich nikt nie słuchał.

Mój przyjaciel niezupełnie tym słowem uwierzył—a jednak tak jest. Przypomnijmy sobie nasze wyścigi i niewinną zabaweczkę z totalizatorem. Wiadomym jest, że gdyby nie on—wyścigówby nie było, albo zeszyłyby wtedy do bardzo skromnych rozmiarów, interesując tylko biorących czynny udział w tym sporcie, lecz nie całą publiczność. Charcie skoki do chartów podobnych koni, samo przez się, nie bardzooby interesowały ogół; najgłośniejszą przynętą jest tajemnicze okienko (obecnie *okienka*)—ów los z zawiązanymi oczyma. Poszukujący uśmiechu fortuny zgrywają się do nitki, gra rozpala i rozbudza złe namiętności. Nie masz prawie pisma, któreby nie przedstawiało złej strony tej wyścigowej zabawy i nie tylko, że był to groch rzucony o ścianę, lecz zdaje się wręcz przeciwny wywarło skutek, t. j. że się jeszcze popełniło do złego. Warszawscy amatorowie hazardu, po zakończonych na polu mokotowskim wyścigach, tęskniąc za totalizatorem w niebywały dotąd sposób poradzili sobie. Niema gry w Warszawie, jest w Moskwie—zaczęto więc tam pisać i telegrafować, aby uproszeni stawiali na wskazane konie. Gdy się rozgrywały w Moskwie najważniejsze gonitwy o nagrody „Derby“ i „Cesarską“ prowadzoną była żywa wymiana depesz między Warszawą a Moskwą.

Przez jeden z domów bankierskich przesłano przekazami telegraficznymi przeszło 100 stawek, czyli z górą 1,000 rs. Znajdują się więc jakoś pieniądze, a myśmy niedawno mówili o nędzy ludzkiej, o łamiącej nieraz życie—niedoli! Można byłoby sarkać na nią, gdyby brakło mamony, ale, przez Boga żywego, musimy mieć jej pod dostatkiem, gdy pozwalamy sobie, na taki naprzykład zbytek.

Jeden z magnatów naszych (pisma nie wymieniają nazwiska, mówią hr. tylko) ujrzawszy lustrzany labirynt na Wystawie higienicznej, zapragnął mieć taki sam, większy tylko, piękniejszy, w parku jednego ze swych majątków. I mieć będzie—jeno kosztem 20,000 rs. W ścianach lustrzanych odbije się stokrotnie postać pana hrabiego—czyż to nie pocieszające? Wszak jest dowodem, że jeśli kto może rzucić taką sumkę na to tylko, by ze stron wszystkich ujrzyć siebie i towarzyszy zabawy—dziesięćkroć więcej dać może na cel donioślejszego znaczenia... Czekamy datku, celów nie brak, niezaopatrzonych dużo jest potrzeb.

Przed kilku dniami zarząd miasta otrzymał zawiadomienie urzędowe, że projekt przeniesienia Szpitala Dzieciątka Jezus na folwark S-to Krzyżki środkami miasta i na rachunek miasta został ostatecznie zatwierdzony. Tak więc, po długim oczekiwaniu, poważne to przedsięwzięcie przyjdzie narzeczcie do skutku, lecz w obec zatwierdzenia warunków nabycia przez magistrat gruntów i gmachów szpitalnych i przewidywanej w najbliższej przyszłości parcelacji placów dla rozprzedaży, staje znów na porządku dziennym sprawa zachowania kościołka Dzieciątka Jezus ku pamięci dobroczyńcy dzieł ks. Baudouina. Grono ludzi dobrej woli, odbywa narady w celu urzeczywistnienia projektu. Postanowiono więc zwrócić się do magistratu z propozycją sprzedaży z wolnej ręki terytorium dzisiejszego kościołka, by następnie uzyskać pozwolenie władzy na zbieranie składek, w celu zdobycia funduszu na budowę nowej świątyni na miejscu dzisiejszego kościołka.

Rzeczywiście, na zwiększającą się wciąż ludność Warszawy, za mało jest świątyń, bardzo mały procent tylko nabożnych, w dni świąteczne, w murach kościołów obecnie pomieścić się może. W dzielnicę zaś, gdzie się znajduje szpital Dzieciątka Jezus, dom Boży jest niezbędny, nie mamy więc nie przeciwko wzniesieniu tam nowej zupełnie a przestronnej świątyni, choć bodaj, czy nie wolelibyśmy pozostawić na miejscu już istniejący kościółek, ozdobivszy go tylko zewnątrz, wzbogaciwszy wewnątrz. Za tym projektem przemawiamy jeno w imię pamiętki, w imię tych półtorawiekowych prawie murów; nim się zdobędziemy na pomnik dla ks. Baudouina—niech ten kościółek, jako dzieło rąk jego pamiętką po nim będzie.

Ja, stare mury dziwną otaczam miłością; gdy wzrok mój padnie na nie, wydaje mi się, że w kamień czy cegłę składającą się na budowę świątyni czy zamku, wsiąkło westchnienie jakieś, jakiś głos wpadł, że głąz cierpi gdy zostanie oderwany od całości, że dość tylko doń ucho przyłożyć, by szeptać zaczął. Dla tego najpiękniejsza, lecz nowa świątynia, nie mówi nic do mnie; potrzeba lat, by o jej mury obili się westchnienia, by coś umiała powiedzieć. W kraju naszym niema konserwatorów pamiętek—dla tego nie masz tak bezpamiętkowego miasta jak Warszawa.

Przed kilku dniami zostało już przywiezione do Warszawy płótno przedstawiające panoramę Tatr. Według pierwotnego projektu wspinałe malowidło miało być rozwieszone w dniu 15-m b. w. lecz z powodu zwłoki w wykonaniu budynku na Dynasach, czynność ta opóźniona została na dni kilka, lecz w każdym razie, przed końcem bieżącego miesiąca, panorama zostanie zupełnie wykonaną i płótno zawieszono. Współwłaściciel dioramy p. Lgocki bawi w Warszawie i będzie obecny przy jej otwarciu.

Na wystawie higienicznej, jak już powiedzieliśmy, nie wiele jest nowości, lecz, że ludek chce się bawić, bo nawet z zabawą połączona najmielszą jest i nauka—oprócz dotychczas, w dniach pewnych, trwającej iluminacji, przyciągającej trochę ludzi—w niedalekiej przyszłości, (tem bardziej że wysta-

wa, z powodów nieznanych dla nas, skróci swój żywot i potrwa tylko do d. 15 Sierpnia) ujrzymy parę rzeczy, mogących zainteresować tłumy. W najbliższą niedzielę ma się odbyć corso kwiatowe panów cyklistów, następnie popisy gimnastyczne, a także postanowiono prosić odnośnie władze o pozwolenie urządzenia na placu wystawy próby straży ogniowej, a do zorganizowania tego ciekawego widowiska uchwalono zaprosić redaktora „Kuryera Porannego“ p. Feliksa Fryzego, znanego miłośnika sztuki gaszenia pożarów.

Maluczko, a plac wystawowy opróżni się ze swoich budynków. Niektóre budowle, postawione z wyżywzonego materiału, po zamknięciu wystawy natychmiast rozebrane zostaną,—do tych należą: hala etnograficzna, rzeźnia prowincjonalna i chata wzorowa, łaźnia ludowa i dom dla robotników, dwa skrzydła drewniane pawilonu głównego oraz papierowe baraki działu chirurgicznego i pogotowia ratunkowego. Inne pawilony zostaną rozebrane w ściśle oznaczonym terminie przez komitet plantacyi miejskich, który miejsca po usuniętych budynkach w roku bieżącym jeszcze ma zadrzewić. Wiele jednak budynków nietkniętych zostanie, które służyć będą dla wystaw przyszłych lub przejdą za opłatą na rzecz magistratu, a mianowicie: labirynt lustrzany, budynek restauracyjny, halla piwna, cukiernia i mleczarnia. Parę z tych ostatnich budynków ma zamiar nabyć miasto w celu wydzierżawienia procederyzjom, własnością też jego zostaną: halle-gimnastyczna i muzyczna, korpus murowany pawilonu głównego oraz brama główna wraz z oparowaniem.

Z nastaniem upałów pojawiły się wiadomości o pożarach. Poważnej katastrofie ognia uległ Białyłstok. Spaliła się nowo zbudowana fabryka kołder Hubirskiego i dwie mniejsze fabryczki sukna Huter i Zilbe, blat-Goldsteina. Nieszczęśliwy Kobryń nieodbudował się jeszcze z zeszłorocznego pożaru, jak oto nowa nawiedziła go katastrofa. Od komitetu niesienia pomocy pogorzelcom miasta Kobrynia wyszła odezwa podpisana przez prezesa Ganeckiego, którą tu powtarzamy:

„Z liczby mieszkańców, którzy ponieśli straty skutkiem pożaru d. 17 Maja 1895 r. tylko niewielu przystąpiło do wznoszenia nowych budowli, większa zaś część wcale nie podejmowała budowy, szukając przytułku u tych, którzy ocaleli. Obecnie spadła na nich nowa klęska. D. 6 Lipca wybuchnął pożar i zniszczył doszczętnie przeszło 200 domów w częściach miasta, które oszczędził pożar zeszłoroczny i tym sposobem pozostało bez środków do życia około tysiąca rodzin.

W obec strasznego położenia mieszkańców, znając dobroczynność Waszą, komitet czasowy zwraca się z uprzejmą prośbą nieodmówienia i tym razem swego współdziałania w zbieraniu ofiar na rzecz pogorzelców.“

W ubiegłym tygodniu przeniósł się do wieczności głośny w swoim czasie malarz, obecnie zapomniany zupełnie Antoni Murzynowski. A były czasy, gdy uważano go za współzawodnika Simlera. Pierwsze swe prace wystawił na widok publiczny w r. 1841 i zdobył list pochwalny za „Portret damy, i „Wnętrze pokoju.“ W r. 1845 występuje znów zwycięsko na popisie publicznym, w r. 1867 zwraca powszechną uwagę obrazem: „Kobieta uciekająca przed pożarem.“ Odtąd usunął się w ciśnię i zapomnienie—przyszli inni i nikt już nie wspominał o Murzynowskim. Smutno jest przeżyć własną sławę. Lecz ś. p. Antoni pracował dalej w cichości—i umarł, pozostawiając żal szczerzy w kole znających go bliżej.

??

ELEGJA.

Rzuć mi twą piosnkę na tę drogę ciemną
Kędy mnie wiedzie przeznaczenia dłoń,
Może gdy dźwięk jej rozebrzmi nademną
Spokojnie na sen wieczny złożę skroń.

Tyle ich nieraz z twej duszy się snuło,
Opromieniając pochmurne me dni,
Lecz tę dla której dziwnie byłem czułą
W ten wieczór letni jeszcze zanuć mi.

W nią wszystkie czucia ująłeś tak wiernie
Marzeń ekstazę—i tęsknoty szal,
Szepty miłosne i zawodu ciernie,
Namiętne walki i duchów i ciał.

Srebrnych ruczajów tajemnicze gwary,
Wiatru pieszczoty, wonne tchnienia bżów,
I trubadurów gajowych fanfary
Zamyka w sobie twoja pieśń bez słów.

Pomnij... Gdy będę w wieczną płynąć ciszę
Niechaj mi dzwoni łabędzi śpiew twój,
On mię jak dziecię słodko ukołysze,
Spowije czoło w snów tęczyowych rój.

I nie tak smutna czekać będę chwili
Spotkania ciebie u wieczności bram,
Bo mi tęsknotę wspomnienie umili,
Że równie szczerze tęsknisz do mnie tam.

Marya Chluska.

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

Jadwiga oburzała się zarówno na słabość matki jak i na niedołęztwo córki.

— Żeby też Hela nie znalazła sobie jakiegoś pożyteczniejszego zajęcia nad te wszystkie bale, rauty, majówki...—próbowała nieśmiało zwrócić uwagę pani Gronieckiej.—Chyba przesycała się już tem wszystkim i pewną jestem, że niewywezas i zbytek wrażeń przyczyniają się głównie do jej mizernego wyglądu.

— A cóż innego proszę pani, panna w jej wieku i położeniu może robić?—pytała zdumiona Groniecka.—Dopóki za mąż nie pójdzie, niczego się od niej nie wymaga.

— Kiedy taki rodzaj życia nie wystarcza—z przekonaniem dowodziła Jadwiga.—Upewniam panią, że Hela nie czuje się szczęśliwą. Przeciwnie. Co raz częściej widzę ją zniechęconą, rozgoryczoną...

Groniecka kiwała głową.

— Widzi pani kochana—szeptała poufnie—Hela jest trochę podrażniona. Miała kilku starających się... Ale ci mężczyźni to tylko rachować potrafią

i jak niema tego, co brzęczy, każdy się pobawi i ucieknie. Pani wie przecie, że dla Heli nie żałowaliśmy niczego i nie żałujemy. Ojciec się dobrze kręci... Bywa z nią jednak wszędzie i u siebie przyjmujemy i toalety Heli opisują zawsze w kuryerze. Mój mąż mówi, że to nie stracone, że się to wszystko powróci niech tylko partię dobrą znajdzie... Nieprawdaż pani?

Jadwiga słuchała tej gadaniny z oburzeniem. Cóż się dziwić Helenie jeżeli matka patrzy na życie jak dziecko niedoświadczone.

Prawie rada była teraz, że Helena zdradza się ze swymi poglądami w obec koleżanek.

Przekonała się, że nie tylko ona, Jadwiga karci jej postępowanie.

— Tak Helu, tak! — powtarza z przejęciem. — Lalką jesteś, bawidełkiem dla innych jak to przed chwilą sama powiedziałaś. Bezcynny życie wyrodziło w tobie egzaltację, zniechęcenie... Tyś już dziś zgorzkniała, co będzie później?

Bronisława przyglądając się Helenie, swoim zwykłym szorstkim tonem spytała:

— Więc ty, Helo, w ciągu tych długich lat ośmiu polowałeś tylko na męża? Winszuję!

Zrenice Heleny zabłyśły ogniem.

— Nie jestem zwolenniczką emancypacji, moja kochana — rzekła ucinkowo. — Że wam się mrzonki jakieś roją i chciałbyście świat przekształcić na swój sposób, to jeszcze nie dowodzi, aby wszystkie panny owczym pędem biedz za wami miały. Wiem oddawna, że lubicie apostołować chociaż i to wiem także, że często same nie wiecie, czego chcecie. Wszak celem kobiety powinno być zamażpójście? W ten sposób spełnia ona tylko swoje zadanie. Jadzia tyle mówi zawsze o świętym posłannictwie matki... Więc czemu oburzacie się, że bywam na balach w nadziei znalezienia sobie męża?

Amelia usiadła przy niej.

— Czy nie uważasz, Helo — rzekła szczerze — jaką upokarzającą rolę przyjąłeś? Ciebie szukać powinni, a nie żebyś ty szukała... Przebac mi, lecz zdaje mi się, że to ubliża godności kobiety

Helena zarumieniła się. Uwaga powyższa dotknęła ją nieco.

— Lubię się bawić... — rzekła — więc jedno z drugim... O! żadna z was nie bawiła się pewno tyle, co ja... Wiele, wiele mam wspomnień i pamiątek Nie opuszczam ani jednego balu, ani jednych wysejgów... Był czas kiedy ogólnie głoszono, że jestem królową wszystkich zebrań. Zarzucono byłą wizytami, zaproszeniami... Anatol Żarski ów sławny lew salonów, ty go znasz, Jadwiniu, prawda? Otóż Anatol przez dwie zimy mnie wyłącznie asystował i wszyscy twierdzili, że jest mną zajęty.

Mówiąc to, podniosła wypieszczoną rękę do czoła układając misterne loki i karby a twarz miała uśmiechniętą, rozpromienioną.

— Co to było zazdrości... — wyszeptała po chwili. — Ile intryg! Ale nigdy, wierzcie mi, nie bawiłam się tak dobrze jak wtedy.

— Nastąpił jednak przesyt... — zauważyła Cecylia — skoro widzimy cię teraz znudzoną, zniechęconą...

Ożywienie zgasło wnet w oczach Heleny.

— To co innego... dziś także z równą przyjemnością bym się bawiła. Warunki tylko się zmieniają, a w tym naszym bawiącym się światku nowość bywa zawsze pożądaną. Izabela Zatorska dorosła, te piękne rudowłose Malickie wprowadzono w towarzystwa... Przystano zachwycać się moją figurą, oczami... Izabella rozpoczyna tryumf od podbicia Anatola, potem usidliła go Malicka i, wiecie przecie jak to bywa. Chociaż ja z placu nie ustąpiłam ani na chwilę i ustąpić nie myślę. Bywam wszędzie i gdybym miała posag...

Zamilkła i powieki jej w dół opadły.

To był wieczny powód jej goryczy, utyskiwań, wyrzutów których nie szczędziła pracowanemu i zadłużonemu po uszy ojcu i pocziwej, lecz nierozsądnej matce.

— Póki byłeś młodsza, świeża bawiono się tobą jak ładnym cackiem... — wtrąciła Amelia.

— Byłabym wyszła za mąż... — wybuchnęła Helena. — I wcale dobrze mogłam pójść za mąż... Miałam przecież konkurentów którzy serwo myśleli... Ale każdy uciekł, gdy się przekonał, że ojciec nawet marnych kilku tysięcy rubli dać nie myśli.

— Zkądże ich wezmie, moja droga? — spytała wzruszając ramionami Jadwiga. — I to ci mam za złe, Helo, że zupełnie obcem ci jest położenie rodziców. Zdaje mi się, że ja lepiej je rozumiem, niżeli ty.

Helena z niecierpliwością, z rozdrażnieniem które ją całą ogarniało, miała w palcach kosztowną, jedwabną szarfę.

— Ojciec powinien był pamiętać zawczasu o posagu dla mnie — zawołała. — Cóż mi z tego, że mam ładną, albo że mi rodzice wykształcenie dali. Trzeba było praktyczniej myśleć o dzieciach.

Uniosła się gniewem, zapominając o zwykłym pozowaniu i o tem jakie uczucia szczerze jej w koleżankach obudzi.

Istotnie słuchały jej oburzone.

Bronisława odezwała się pierwsza:

— Moja Helciu, gdybym ja była twoją matką to byś pewno nie miała ani czasu ani chęci do głupiej takiej filozofii. Zapędziłabym cię najpierw do czerowania bielizny, do opiekowania się młodszymi dziećmi, do prania nawet i do gotowania.

— Wytlomacz sobie, moja kochana, że nie wszyscy jednakowe mamy gusta — odparła wyniośle Helena. — Ciekawam, co bym ja w kuchni lub pralni robiła! Nie kształciłam się na praczkę, ani kucharkę... Odkąd myśleć zaczęłam, duch mój rwał się ku wyżynom...

— Pierwszego, a co najwyżej drugiego piętra bo w trzeciopiętrowych salonach pewno nie bywasz?... — żartowała Bronisława. — Oj Helo, Helo!

Helena rozmarzone spojrzenie utkwiała w przestrzeni jak gdyby uparcie czegoś wypatrywała. Płowe loki chwiały jej się nad czołem, poruszone wietrzykiem przez otwarte okno płynącym, ręce w fałdach delikatnej tkaniny sukni opuściły się bezwładnie.

— Na pensyi jeszcze marzyłam o ideale... — szeptała jakby do siebie — tęskniłam, szukałam... a nie znalazłszy...

— Stałam się dziwadłem... — mruknęła Bronisława nieprzejednana. — To mnie wcale nie dziwi. Kto szuka ideału w życiu tylko pomiędzy frakami i treś wszystkimi marzeń uogólnia w kształtnej postawie lub pięknych wąsach takich Anatolów i po za tem nie widzi już nic...

Czerska która uważnie słuchała rozmowy, rzekła: — Zabawne są te młode panny! Im się zdaje, że zamażpójście to jedyna podstawa do szczęścia... Ale nie pomyśl o tem, jak ciężkie obowiązki przyjmujemy na siebie, jak trudno dźwigać je czasem...

— Przyznasz chyba Michalino — zaczęła energicznie Jadwiga, gotowa zawsze stanąć w obronie małżeństwa — ale tamta nie pozwoliła jej skończyć.

— Gra w ciuciubabkę, moja kochana. Komedya omyłek! — zawołała gorączkując się. — Potrzeba by wiele, wiele zmienić. A najprzód powstrzymać te nieszczerne, biegnące na oślep w ramiona pierwszego lepszego mężczyzny który się im oświadczy często z wyrachowania, niekiedy porwany chwilową namiętnością. Któżby wierzył w trwałość ich uczuć kiedy oni sami przyznają się do swej słabości a na walkę ich nie stać. Jeden krok fałszywy ze strony kobiety płaci się dotkliwymi cierpieniami, życiem zmarnowanym ale im, tym panom świata, wszystko uchodzi. I takie młode, ufne dziewczęta które w męzu pragnęło znaleźć jakąś wyższą istotę, duszę pokrewną i sobie oddaną, widzi się naraz opuszczone, zdradzone, a nie mogąc już pęt zerwać, wlecze życie, częstokroć biorąc na siebie jeszcze odpowiedzialność za błędy niepopołnione.

— Michalinko, — ozwała się miękko Jadwiga — takas wzruszona... Nie mówmy już o tem. Znajdziemy przecie piękne, jaśniejsze barwy...

Michalina uśmiechnęła się z goryczą.

— Jaśniejsze barwy? A jeśli w oko ciemno, czarno... Skąd ich brać, gdzie szukać? Czyście też zastanawiały się kiedy nad tem, ile niekonsekwencyj, niesprawiedliwości zawiera w sobie uznany, uprawniony kodeks małżeński? Pismo Święte powiada nawet: Żona powinna iść za mężem... A jeśli mąż wiedzie do występku? Jeśli idąc za nim stoczymy się w przepaść? Cóż wtedy? Chociażby żona nie była współniczką jego czynów, opinia, ów karcący głos ogółu tak samo zwraca się przeciwko niej, zalewa ją, druzgocze. I nie wolno

sarknąć, nie wolno się wyłamać z pod barbarzyńskiego tego prawa.

— No, przesadzasz trochę, Michalino — zarzuciła Bronisława zdumiona jej wybuchem.

— Nie nie przesadzasz. Czy możesz mi zaprzeczyć, że żona człowieka który naprzykład powierzono sobie pieniądze ukradł, nie uważana jest na równi z przestępcą? Wszyscy się od niej odwracają z pogardą, wszystkie drzwi przed nią zamknięte O, okrutne, bezlitosne prawo dalej jeszcze sięga. Ono nawet niewinne dzieci dotyka. Czy to jest sprawiedliwe? A przecie takie prawdziwe, ogólnie ludzkie...

Umilkła, po twarzy jej przebiegały drgawki nerwowe, w oczach paliły się iskry.

Jak ptaki uwieszone w klatce biją skrzydłami o żelazne pręty swego więzienia tak i w piersi jej zrywać się poczęły zduszone, tłumione od lat kilku jęki i łkania.

Zapomniała że jej słuchają, że na nią patrzą... Ona patrzyła teraz w głąb swej duszy rozdartej, odepchniętej od wszelkich pociech, ulg, zdruzgotanej na zawsze. Nikt już nie zdejmie z niej tego olbrzymiego ciężaru jaki na barki jej włożył t-n, któremu z ufnością powierzyła młode swoje życie.

Jak ona się czuje starą. Ma dwadzieścia kilka lat zaledwie i taką próżnię w sereu, takie piekło w myślach.

Przysłoniła oczy ręką, bo oślepiało ją jasne światło dnia letniego, oślepiała harmonia barw i kształtów w zacisznym buduarze Jadwigi, drażniły twarze kobiet spokojne...

Przypomina sobie ognisko swoje domowe, zawsze puste, wyziębłe! Nie łączy ją z mężem ani miłość, ani praca wspólna, poglądy ich tak są sprzeczne, dążenia tak odmienne...

Wprzagnięta w jarzmo ślepego posłuszeństwa dla męża, idzie za nim, jak niewolnica za swoim panem. Jej prawa natura wstrząsa się z obrzydzenia na jego postępkę, a jednak nie może ją uchronić od tej nędzy moralnej i materyjalnej, jaką jej zgotował, wyzwolić z pod jego tyranii.

— Jaka to zimna matka... — mówiono, — kiedy przy grobie jedynego synka stała jak głaz, spokojna, niema.

Ach, gdyby wtedy mogła ból im swój odsłonić... pokazać te krwawiące rany serca!

To małenstwo które od niej odeszło, uważała za bezpieczniejsze, gdy je przytuliła mogiła, niżeli pod opieką niekzemnego ojca.

— Zerwę te pęta... — wołała nieraz oszalała rozpaczą. — Pójdę precz z jego domu otrząsnawszy proch z obuwia. Nie chcę być współniczką jego czynów, nie chcę, aby przypuszczano, że mogę mieć takie czoło wytarte, w które pluć bezkarnie można...

W obec okrutnej logiki, w obec praw żony obowiązujących, milkła jednak wkrótce i już tylko ręce łamała bezsilna.

Czy może odejść? Czy wolno jej porzucić go? Czyżby wszechpotężny głos opinii nie zwrócił się przeciwko niej? Opuściła męża... Jaka to kobieta, jaka żona!

A ona do syta już najadła się upokorzeń i wzgardy ludzkiej.

Kiedy po ślubie oddawali wizyty, wiele drzwi przed niemi zamknięto. I wtedy zaraz w umyśle jej przetrwać się poczęły gorzkie myśli na gruncie owej niesprawiedliwości i niekonsekwencji życiowych oparte.

Cóżem ja zawiniła? ja, która sama zostałam oszukana, zgębiona, którą żaden moralny łącznik z człowiekiem tym nie wiąże — zadawała sobie pytanie upokorzona, wylekła, uciekając już teraz od ludzi, kryjąc się przed nimi.

Była żoną swojego męża, oto wszystko. Pogardzano nim a więc i nią. Jak galernik kulę swą u nogi, tak ona dźwigać musiała następstwa jego czynów.

Okrutne prawa ciemieży w obec skrupowanej anormalnością taką istoty, kładło jej po wielokroć już narzędzie śmierci w rękę... Modlitwa, wspomnienie matki, wytręcały je. I zapytywała siebie, gdzie jest ten postęp cywilizacyjny, gdzie idea sprawiedliwości, jeśli dla błędnych, przestarzałych a wszechwładnie panujących pojęć, jednostka taka wykolejona pozbawiona jest racjonalnego, spokoj-

nego istnienia. Zgubna zależność skazuje ją na wspólność z mężem i nie oburza się przeciwko temu nikt, przeciwnie, uświęcone zwyczaje każą jej wytrwać przy jego boku.

Jak ona długo się wahała, czy jechać na ów zjazd koleżeński, czy twarz jej wyniszczona cierpieniem, suknia pocerowana starannie, nie wywołają lekceważącego uśmiechu na ustach koleżanek, lub pytań na które ona odpowiadaćby nie chciała, nie mogła.

Tęsknota do jakiegoś cieplejszego, życzliwszego słowa, do jakiejś przerwy w jej życiu bezbarwnem, do ogłuszenia się chociażby chwilowego, przemogły.

A jednak teraz już tego żałuje. Rozgorączkowała się, uniosła...

Kodeks moralny wymaga, aby żona cierpiała w milczeniu i nie obciążała drugiej swojej połowy cieniem zarzutu nawet... — myślała, starając się spokojny uśmiech przywołać na usta.

Delikatne ręce Jadwigi objęły jej szyję i świeże jej usta do bladego czoła przylgnęły.

— Nieszczęśliwe żony mają w tobie żarliwego obrońcę, Miciu — wyrzekła, udając, że się nieczego nie domyśla. — Zgadza się z tobą najzupełniej. Wychodzimy zwykle młodo za męża, nie posiadając najmniejszego doświadczenia. Oddajemy się człowiekowi obcemu, prawie go nie znając. gnane obawą abyśmy starem panny nie zostały.

— Bo dla kobiet samotnych nie było dotąd istotnie miejsca na świecie, — odezwała się Bronisława. — Wysługiwać się musiały krewnym, lub wycierać cudze kąty. Wszędzie spotykały lekceważący uśmiech, dowcipny a złośliwy żarek... Pozycya przykra nad wyraz i upokarzająca.

Cecylia uśmiechnęła się rozpromieniona.

— O! teraz już dla takich osamotnionych jednostek otwarta szeroka droga. Która chce pracować, pracę znajdzie — rzekła dumnie podnosząc czoło. — Byle umysł i ręce odpowiednio wykształcić. Ach, ta zależność, to tułanie się po obcych kątach, to bolesne słowo: łaska, rzucane w oczy bezlitośnie, z upokarzającym dodatkiem: stara panna! Helciu, — zwróciła się do zadumanej Heleny — nie smuć się!... Chociaż nas mąż nie weźmie, nie będziemy nosić szafranowych chusteczek na twarzy i jak w owej powiastce Korzeniowskiego, wyglądać pana Kajetana. Pieski faworyty, koty i kanarki nie pochłona nas całkowicie i — niema obawy aby okieszenie: stara panna, w zastosowaniu do nas, budziło szyderczy uśmiech.

Helena obrzuciła ją pogardliwym spojrzeniem.

Oczywiście, taka może abnegować ze wszystkich ucies i rozkoszy życia, — pomyślała, rozbierając wdzięki Cecylii.

— Troszcz się o siebie tylko, moja mała, — wycedziła lekceważąco przez zaciśnięte zębki. — Nierówne mamy szanse i odmienne wymagania...

Sympatyczną lecz nie piękną twarz Cecylii oblał rumieniec błyskawicznie odczutego upokorzenia.

Zauważyła spojrzenie Heleny, odgadła intencję w słowach.

— Co za wyrafinowana złośliwość... — szepnęła nieznanie Amelia.

Ale tamta rozśmiała się tylko.

Cecylia wprędce ochłonęła.

— Żartuj sobie dowolnie z mojej mizernej osobki, Helo... — odezwała się żartobliwie. — Dawniej, przyznając, byłam bardzo drażliwa... Wpływ rozsądny Amelki, przeświadczenie, że mogę się przydać na coś, zawód który ukochałam uczynił mnie obojętną na wybitną różnicę jaka istotnie zachodzi pomiędzy taką piękną jak ty, panną, a moją marną powierzchownością. Ale wracając do wstępu naszej rozmowy, przyznać musisz, że kształcenie kobiet w rozmaitych rzemiosłach i rękodzielnictwach, rozwijanie umysłu, olbrzymie rezultaty przynieść mogą w dziedzinie ogólnego umoralnienia. Setki dziewcząt naprzykład, które brak fachowego uzdolnienia a złą i nędza sprowadza na drogę występku, ocalałyby od upadku. Ja będąc w twoim położeniu, stanęłabym na czele jakiej szkoły zawodowej...

Helena uśmiechnęła się szyderczo.

— Dostę, dostę emancypantko! Już widzę, jak masz przewrócone pojęcia! Ja jestem konserwa-

tystką, moja kochana, wierna tradycyi, która inaczey stanowisko kobiety określa.

Mówiąc to, sięgnęła po bukiet lilii białych, zdołbiący gotowalnię Jadwigi.

— Kobiety utracą wkrótce cały swój wdzięk, ów czar słodczy i piękności bez skazy, który przykuwał do nich mężczyzn... — rzekła, wpatrując się okiem rozmarzonym w śnieżny kielich lilii. — To tak jak gdyby kto temu przepięknemu kwieciku odebrał woń jego i biel przezczystą... Zabawne wy jesteście z tymi emancypacyjnymi wyskokami.

Odczepiła delikatnie od bukietu lodygę kwiatu i ozdobiła nim ponsowy stanik jedwabny.

Czyniła to z drobiazgową starannością, wygładzając fałdy materii, układając zrecznie szarfę. Oczy jej, w umieszczeniu na przeciw zwierciadło, szukały odbicia swej postaci, napawały się nią.

Bronisława śmiała się z niej otwarcie.

— Lalka, doprawdy, wierze mi! — mówiła chychocząc. — Widziałam podobną na wystawie sklepowej... I ona mówi o tradycyi, marzy o obowiązku żony i matki... Paradnel! Sliczną pociechę miałby mąż i dzieci i gospodarstwo... Helu, powiedz prawdę, ile się ty godzin dziennie stroisz i w zwierciadło przeglądasz? Co?

— Nie mam chyba nic innego do roboty... — odburknęła niechętnie Helena.

Młode kobiety spojrzały na siebie. Amelia nie mogła stłumić westchnienia.

Żal jej było tej ładnej Heli, litowała się zawczasu nad tym krótkowidzem, który taką lalkę wypieszczoną, salonowe cacko, postawi na czele domu swego, rodziny.

Bystry jej wzrok, dar obserwacyjny wysoko rozwinięty dużo pozwalały jej odgadnąć.

Owo spotkanie z koleżankami oczekiwane z niecierpliwą radością, napełniło ją smutkiem.

Taki niewielki procent znalazło się szczęśliwych!...

O rozpaczliwym położeniu Czerskiej słyszała już od ludzi. Byli tacy, którzy potępiali nieszczęśliwą. „Żona powinna wpłynąć, żona powinna nie pozwolić...“ jak gdyby istotnie żona posiadała tu jakieś prawa, jakieś przywileje...

Dla Amelii twarz Czerskiej zorana przedwczesnie zmarszczkami, ponury ogień oczu, gdzieś w głąb czaszki zapadłych, pełen niewysłowionej gorczy i ironii uśmiech który się do rysów jej przykleił, to były aż nadto wyraźne zgłoski i z ich pomocą łatwo było wyczytać niedolę, chociażby usta milczały.

I dla takiej zmarnowanej istoty pociechy nawet znaleźć nie mogła. Nieszczęście powstało wówczas gdy młoda, niedoświadczona dziewczyna i zaślepieni widocznie rodzice wyrzekli słowo o przyszłości jej stanowiącej; następstwa życie całe dźwigać musi i ratunku już na to niema.

Albo i ta rozegzaltowana, romansowym mrzonkom i ubóstwianiu swych wdzięków oddana Hela. Czy ona zastanowiła się kiedy dokąd dąży? Czy w ogóle zastanawiała się nad czemkolwiek? Jaki pożytek ma rodzina, społeczeństwo z takiej chorobliwej jednostki?

Wtem oczy jej padły na fotografię Janiny i nieokreślona trwoga schwyła ją za serce.

Ta Jania taka piękna, taka uroczą ze swoją oryginalnością, nie a nie do innych panien niepodobna i ten błyskotliwy Paryż, Sorbona, gdzie tyle sposobności do poznania rozmaitego gatunku ludzi, gdzie nie czuwa nad nią troskliwie oko matki a przecież każdy na wspaniałej urodzie dziewczyny poznać się potrafi. Może ona na wielkie przykrości narażona, może nie wróci do nich taką, jaką ich pożegnała... Może kiedyś matka rozpaczć będzie, że pozwoliła pisklęciu z pod skrzydeł swoich na szeroki świat wyfrunąć...

Z gorączkową niecierpliwością pochwyciła list Janiny.

— Przeczytajmy teraz co pisze Jania, — odezwała się do koleżanek drżącym jakby nie swoim głosem.

Starła się zwalczyć niepokój, ale twarz jej nagle pobladła zwróciła uwagę Cecylii.

— Może ja przeczytam? — spytała. — Wydajesz się zmęczoną, Amelko?

Nie pozwoliła. Nie miała by cierpliwości śledzić za wzrokiem Cecylii, łowić uchem dźwięki jej głosu.

Podziękowała jej uśmiechem, pieszcząc dłonią delikatne arkusiki welinu, chłonąc w siebie subtelny zapach ulubionych przez Janinę konwali.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIADOMOŚCI

Z HYGIENY I MEDYCyny POPULARNEJ.

O ODŻYWIANIU

przez

D-ra Stanisława Kamińskiego.

„Większa jest korzyść dla ludzkości z wynalezienia nowej potrawy niż z odkrycia nieznanego komety“ powiedział Brillat-Savarin, i miał do pewnego stopnia słuszność, choćby ze względu na to, że od jego czasu odkryto już sporo nieznanych komet, które ludzkości żadnego pożytku nie przyniosły a wielu — strachu napędziły, a nie wprowadzono do kuchni żadnej prawdziwie nowej potrawy. A jednak zwłaszcza ci, którzy choć trochę mieli do czynienia z choremi i z rekonwalescentami, ba! nawet gospodynie, które przy skromnych środkach chciałyby osiągnąć pewną rozmaitość w codziennych obiadach wiedzą jak trudną rzeczą jest wymyśleć coś zdrowego, posilnego i zarazem nowego. A jednak jest to rzeczą pierwszorzędną wagi, bo od tego jak człowiek je i ile je zależy w znacznej części to ile pracuje i jak pracuje.

W samej rzeczy dla wykonania każdej pracy potrzebnem jest wytworzenie pewnej ilości siły mięśniowej i nerwowej, ta siła zaś wytwarza się przez procesy chemiczne jakie zachodzą w mięśniach i nerwach. Ostatecznem zaś ogniwem owych procesów chemicznych jest częściowe zniszczenie tkanki nerwowej i mięśniowej. Lecz nie tylko na wytworzenie pracy zewnętrznej, widocznej zużywają się tkanki naszego ustroju; znaczna ich część zużywa się na pracę wewnętrzną: wytworzenie ciepła i wydalenie z ustroju zużytych przez niego składowych części tkanek. Jeżeli więc ustrój co chwila traci pewną część składających go związków organicznych, to samo przez się rozumie się, że straty te powetowywać musi i powetowywa — oczywiście przez przyswajanie sobie pokarmów z otaczającego go ośrodka. Ponieważ zaś, jak to zobaczymy niżej, żaden ze znanych i używanych pokarmów nie zawiera wszystkich potrzebnych dla ustroju związków organicznych, żaden nie jest na tyle smacznym i strawnym aby mógł być stałym dla człowieka pożywieniem, więc jest rzeczą jasną, że im więcej potraw do rozporządzenia mieć będziemy, tem łatwiej różnorodnym wymogom ustroju odpowiedzieć będziemy w stanie...

Ktoś porównał organizm ludzki do maszyny parowej, która zużywając ciepło wytwarza pracę. Porównanie to jest o tyle nieszczęśliwem, o ile nietrafnem. Maszyna albowiem jest tylko narzędziem, które ma za zadanie pracy wytwarzanej przez ciepło nadać pewien kierunek, sama zaś bynajmniej nie wytwarza ciepła i pracy, zapobiega tylko temu, aby to ciepło nie rozchodziło się bezużytecznie po przestrzeni. Dla tego też jest zupełnie obojętną rzeczą, jakiego rodzaju materiał palny spalać będziemy w kotle; jeżeli ilość wytworzonego przez palenie ciepła jest dostateczną, maszyna działać będzie dobrze, gdyż ona tylko zużytkowuje a nie wytwarza siły. Inaczey rzecz się ma z ustrojem. Ustrój nie zużytkowuje dostarczonych mu z zewnątrz ciepła i siły lecz sam wytwarza je przez spalanie własnych tkanek. Nie te więc ciała, które mogą ulegać spalaniu (t. j. łączyć się z tlenem) są przydatne dla wytworzenia ciepła i pracy w ustroju, lecz te, które mogą stać się składową częścią organizmu, jego soków i tkanek. Tak np. jeden gram węgla wytwarza osiem jednostek ciepła — jeden gram wosku dziesięć jednostek ciepła, gdy tymcza-

sem z używanych pokarmów tłuszcze wytwarzają około 7, węglowodany (cukier i potrawy mączne) 3 do 4, potrawy mięsne 1 do 2 jednostek ciepła. Poczornie więc zdawałoby się, że dla wytworzenia ciepła w ustroju korzystniejszą rzeczą byłoby spalić w nim wosk i drzewo, aniżeli nawet tłuszcze a tembardziej węglowodany i ciała białkowe. Jeżeli jednak żadne ze zwierząt wyższych nie zjada drzewa, to dlatego że drzewo nie mogłoby się stać składową częścią ustroju i jako takie być spalonym. Pokarmy więc nasze służą jedynie do zastąpienia zużytych części ustroju, ciepło zaś i pracę wytwarzają nie pokarmy ale same tkanki ustrojowe. Najpierwszym więc wymogiem od pokarmów jest to, aby one mogły być w ten sposób zmienione przez ustrój resp. jego narządy trawienia i oddychania aby się stały składową częścią jego soków i tkanek. Jeżeli zostawimy na stronie tlen powietrza, który właśnie służy tylko do spalania tkanek i soków a nie do ich wytwarzania, to pokarmy przyjmowane przez nas podzielić można na następujące grupy z których dwie pierwsze należą do świata nieorganicznego, pięć ostatnich do organicznego. Grupy te są następujące:

1) Woda, przyjmowana w stanie czystym i oprócz tego w rozmaitych napojach a wreszcie będąca składową częścią wszystkich pokarmów zwierzęcych i roślinnych. Zwłaszcza różne gatunki mięsa zawierają jej znaczną ilość, bo około 70%. Stanowi ona $\frac{2}{3}$ (64%) na wagę dorosłego organizmu.

2) Sole a mianowicie związki metali, sodu, potasu, wapnia, magnezu z chlorem i kwasem fosforowym. Sole te stanowią około 5% na wagę ustroju a $\frac{5}{6}$ ich ilości wchodzi w skład kości. Z soli tylko chlorek sodu czyli t. zw. sól kuchenną przyjmujemy jako oddzielny pokarm, inne sole przyjmujemy w pokarmach zwierzęcych i roślinnych.

3) Białka. Są to ciała zawierające w sobie oprócz węgla, wodoru i tlenu (jak wszystkie prawie ciała organiczne) jeszcze azot. Stanowią one wraz z następną grupą klasę tak zwanych pokarmów azotowych. — Białko znajdujemy zarówno w pokarmach roślinnych jak i zwierzęcych. Stanowi ono główną składową część mięsa, mleka, sera, owoców strączkowych, jako to groch, fasola, soczewica i t. d. Ciało ludzkie zawiera około 10% na wagę białka.

4) Substancje klejowate t. j. takie które przy gotowaniu dają klej. Znajdują się one głównie w pokarmach zwierzęcych w ścięgnach (t. zw. żyłach) kościach, w tkance łącznej i t. d.

Z pokarmów ludzkich najwięcej substancji klejowatych zawierają nogi rozmaitych zwierząt. Ciało ludzkie zawiera około 6% na wagę kleju, który głównie znajduje się w ścięgnach, chrząstkach i tkance łącznej.

5) Tłuszcze. Są to ciała, składające się z węgla, wodoru i tlenu. Ilość ich w ciele człowieka podlega bardzo znacznym wahaniom — wynosi ona od 9% do 23% wagi ciała.

Znajdują się one w tkance łącznej podskórnej, w otrzewnej (błonie brzusznej) w mięśniach, a także w niewielkiej ilości we wszystkich prawie tkankach i sokach ustroju. W pokarmach, przyjmujemy tłuszcze w maśle, słoninie, szpiku kostnym, mięsie, mleku, serze, w nieznacznej ilości w pokarmach roślinnych, a oprócz tego jako tłuszcze pochodzenia roślinnego oliwa, olej rzepakowy, i t. p.

6) Węglowodany. Są to ciała organiczne składające się z węgla wodoru i tlenu. Zawierają one 8 razy więcej na wagę tlenu aniżeli wodoru, t. j. dwa te ciała znajdują się w nich w tym samym stosunku, co w wodzie i stąd pochodzi ich nazwa. Do tej grupy ciał należy krochmal i cukier. Ustrój zawiera tych ciał ilość bardzo niewielką, gdyż bardzo szybko po przyjęciu ulegają one spożyciu. Znajdują się one głównie jako krochmal zwierzęcy (glicyogen) w wątrobie, i mięśniach, jako cukier gronowy we krwi, wątrobie i mięśniach; jako cukier mleczny w mleku. Węglowodany znajdują się głównie w pokarmach roślinnych i tylko te ostatnie mogą być brane pod uwagę skoro chodzi o dostarczenie ich ustrojowi. Pokarmy roślinne zawierają głównie krochmal, cukier zaś jako cukier gronowy znajduje się we wszystkich prawie owocach i nie-

których jarzynach. Używany przez nas cukier trzcinowy znajduje się głównie w trzcinie cukrowej i tak zwanych burakach cukrowych. Krochmalu zawierają rozmaite rośliny od 50% do 75%. Najwięcej zawiera go ryż, najmniej owoce strączkowe, (które jakżeśmy widzieli zawierają dosyć dużo białka). Pośrodku stoją rozmaite gatunki zboża.

7) Te powyższe sześć grup wyczerpują właściwie pokarmy w ścisłym tego słowa znaczeniu. Siódma i ostatnia grupa zawiera tak zwane używki czyli przyprawę. Te ostatnie nie służą do odnowienia zużytych tkanek ustroju, lecz do poprawienia smaku spożywanych pokarmów lub też do podniecenia układu nerwowego. Pewna część tych używek znajduje się już gotową w pokarmach przyjmowanych przez nas (np. cukier, kwasy owocowe, kwas masłowy, rozmaite ciała znajdujące się w zwierzyźnie i t. d.). Inna bywa do nich dodawana; są to tak zwane korzenie, a także i niektóre jarzyny jak np. cebula, czosnek, pietruszka i t. d. Inna wreszcie powstaje podczas przygotowywania pokarmów np. smażenia mięsa, wędzenia szynki i t. d.

Z kolei zastanówić się nam wypada nad znaczeniem rozmaitych grup pokarmów dla ustroju.

1) Woda będąca główną składową częścią wszystkich tkanek i soków ustroju niezbędną jest dla tego, aby czynności ustroju odbywać się mogły, przede wszystkim potrzebną jest ona dla utrzymania krwi w stanie takiego rozcieńczenia, aby krążenie odbywać się mogło; następnie wszystkie zużyte przez ustrój części tkanek wychodzą z niego w stanie płynnym, a więc rozpuszczone w wodzie; wreszcie woda jest główną składową częścią soków trawienych i potrzebna jest do rozpuszczenia pokarmów które tylko w stanie płynnym dostać się mogą do krwi, a z niej do tkanek, do odbudowania których służą. Same tkanki również funkcjonować mogą tylko pod warunkiem, że zawierają dostateczną ilość wody. Dla tego też wahania w ilości wody w ustroju są nadzwyczaj nieznaczne i wszelka utrata wody natychmiast zastąpiona być musi. Nie dziw więc, że pozbawienie wody jest daleko przykrejszym i szkodliwszym dla ustroju niż pozbawienie pokarmu, i pragnienie czuć się nam daje daleko silniej aniżeli głód. Średnio traci ustrój dziennie 2,000 do 2,700 gramów wody i tyleż jej w stanie czystym lub w pokarmach przyjąć musi.

2) Sole. Sole potrzebne są do budowy kości w większej ilości, a oprócz tego znajdują się we wszystkich tkankach i sokach ustroju. Dla tego zwłaszcza znaczną ilość soli potrzebuje organizm rosnący a zwłaszcza dziecko do 3-ech lat życia, którego szkielet jest jeszcze miękki i twardnieje pod wpływem osadzania się w nim soli. Brak soli w pożywieniu małych dzieci albo złe spożywanie takowych przez ustrój powoduje t. zw. krzywicę czyli angielską chorobę. Ponieważ do budowy kości potrzebne są przede wszystkim związki potasu i wapnia, a ze znanych nam pokarmów największe ilości tych soli zawiera mleko zarówno kobylicie jak i krowie, należy przyjąć za zasadę, że mleko powinno być głównym pożywieniem dzieci do trzeciego roku życia; inne pokarmy mogą służyć tylko jako dodatek. Lecz i organizm dorosły bez soli obejść się nie może. Doświadczenia na zwierzętach przekonały, że giną one gdy dostają pożywienie pozbawione wszystkich soli. Co do ilości soli, jakie spożywać mamy, to troszczyć się o nie nie należy: pokarmy przez nas używane zawierają soli ilość dostateczną.

Sól zaś kuchenna potrzebna, jest tylko jako używka, a niezbędna; jedynie dla ludzi żyjących głównie lub wyłącznie roślinami.

Narody mięsożerne (a mianowicie rybackie) obywają się bez soli kuchennej. Jakuci żyjący w północnej Syberii żyją wyłącznie rybami i to wyłącznie zgnięmi, kiedy połów jest niemożliwy. Rząd rosyjski chcąc zapobiedz powstającym wskutek podobnego pożywienia chorobom zalecił Jakutom solenie ryb mających się przechowywać przez czas dłuższy i w tym celu nakazał Jakutom kupować pewną ilość soli na głowę. — Niestety Jakuci uważali to rozporządzenie jako środek przysporzenia dochodów państwu. — Sól kupują, a ryby jak gnily tak gniją.

3) Białko jako pokarm posiada szczególne własności. Najprzód, pewna ilość jego (70 do 80 gram) potrzebną jest dla pokrycia strat jakie organizm codziennie ponosi. Gdybyśmy jednak te straty chcieli pokrywać samem białkiem, to musielibyśmy spożywać ilości tegoż kilka razy większe aniżeli te jakie są potrzebne sądząc ze strat organizmu. Tego rodzaju pożywienie byłoby i zbyt drogiem, gdyż pokarmy zawierające białko należą do najdroższych z codziennych pokarmów lecz także i bardzo niezdrowem, gdyż wymagałoby spożywania ogromnej ilości mięsa, owoców strączkowych i t. d. i zbyt obciążałoby organy trawienia.

(Dokończenie nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

I znowu powiodło się Teatrowi Nowemu, a właściwie, reżyserowi jego, p. Ludwikowi Śliwińskiemu: wystawiona świeżo operetka — burleska Grüneke'go, p. t. „Za oceanem,” zjednała sobie olbrzymie powodzenie. Mistrzowi dowcipnych kupletów i umiejętnego scenizowania lekkich, produkcji artystycznych, p. Śliwińskiemu, i tym razem się poszczęściło. Artysta — reżyser w treść operetki nikłą i dość bladą potrafił włożyć tyle werwy, humoru i wesołości, że dziełko o małych artystycznych zaletach przypadło do gustu widzów i zapewniło sobie sukces znakomity.

Muzyka Grüneke'go do oryginalności pretensji niema żadnej; kompozytor bez ceremonii pobrał ładne melodie z Lecocque'a, zręcznie je wraz z innymi, również zapożyczonemi, powiązał, tworząc rzecz pomimo to (a może właśnie dla tego) przyjemną dla ucha.

Słucha też publiczność, tłumnie zapełniająca salę, tych piosenek nader zadowolona i bije oklaski z całych sił. Przyczynia się do powodzenia operetki doskonały artysta, p. Gasiński, którego świeżo ze Lwowa teatr warszawski pozyskał. Oprócz tego bardzo dobrze zaprezentowała się debutantka, p. Marya Wojewódzka, uczennica, słynnych nauczycielek paryskich, Viardot i Marchesi. Młoda, ładna, obdarzona pięknym głosem i śpiewającą ze smakiem artystką, wykazała od razu wybitny talent wokalny, któremu można wróżyć niewątpliwie świetną przyszłość.

P. Śliwiński tedy dał nam skazanym na kanikule w Warszawie, rzecz rozweselającą, należy mu się też za to uznanie najgorętsze.

Nad urozmaicheniem lata pracują bardzo skutecznie wieczorami trzy orkiestry, grywające na wolnem powietrzu.

Orkiestra warszawska, od paru miesięcy występująca publicznie, coraz większe zdobywa sobie powodzenie. Ostatnimi czasy dała ona na placu wystawy higienicznej kilka koncertów godnych najwyższej pochwały; między innymi koncerty kompozytorów polskich zwracały uwagę powszechną. Członkowie młodej orkiestry wraz z kierownikami swymi, p.p. Konopaskiem i Pileckim, pracują skutecznie i poważnie osięgają z tej pracy rezultaty. W orkiestrze tej pierwszą wiolonczelę ujął w swe dłonie utalentowany artysta, p. Tadeusz Joteyko, który wykonał dwukrotnie z wielkim powodzeniem przed kilku dniami ślicznego poloneza z „Hrabiny,” znanego p. t. „Pan Choraży.”

Z pośród kompozycji, odegranych przez orkiestrę warszawską, wyróżnić należy przede wszystkim wznawienie Karola Kurpińskiego uwertury z opery „Jadwiga.” Rzecz tę orkiestra pod dyrykcją p. Münchheimera wykonała bardzo ładnie. — W interpretacji preludium Chopina odznaczył się pierwszy skrzypek, p. Ozimiński, posiadający miłe pociągnięcie smyczka i szlachetne zrozumienie odtworzanego dzieła.

Kompozycje Zygmunta Noskowskiego i Władysława Zelenkiego wywarły silne wrażenie.

Bardzo dobry też uczyniono wybór, interpretując „Elegię z symfonii charakterystycznej” Ignacego Dobrzyńskiego. Dość efektownie, choć bez głębszego wrażenia wypadły „Tarantella” i „Obertas Scherzo” Grossmana.

Polonez Maszyńskiego zjednał sobie huczne oklaski.

Świetnie się spisuje orkiestra p. Ertla w Dolinie Szwajcarskiej. Każde dzieło wykonywa ona z precyzją i prawdziwym artyzmem. Dyrektor Ertel prowadzi swoją drużynę dystygownie, po wiedeńsku, istotnie, i nadaje jej swoją pałeczką dużo wery i temperamentu. Zarówno lekkie, jak poważne kompozycje wychodzą w tej interpretacji pod każdym względem niepospolicie. Co dziwna, że orkiestra wiedeńska gra wybornie mazury, które musi naturalnie *bisować* na żądanie słuchaczy.

W zeszłym tygodniu orkiestra wiedeńska wykonała nowy utwór młodego kompozytora p. Feliksa Starczewskiego, p. t. „Menuet.” Pan Starczewski, ucz. n. prof. Noskowskiego, w roku bieżącym skończył warszawski instytut muzyczny i właśnie pierwszą swą pracę oryginalną zaprezentował tłumnie zgromadzonej publiczności. „Menuet” zawiera w sobie dużo swobody, wdzięku i lekkości; technicznie utwór ten jest obrobiony starannie i umiejętnie—znać w instrumentacji pomysłowość i władanie formą, słowem — dzieło pierwotne, młodego kompozytora zaliczyć należy do utworów bardzo udatnych i świadczących o niewątpliwym talencie autora. Zdolności p. Starczewskiego zdają się wskazywać u niego skłonność wrodzoną do rodzaju muzyki lekkiej, rytmika jest energiczna i pełna życia; przymioty te powinny rozpoczynającego pracę samodzielną kompozytora natchnąć pomysłem do muzyki baletowej. Pierwsze wystąpienie p. Starczewskiego przyjęła publiczność gorącym oklaskiem,—a orkiestra na żądanie powszechne „Menueta” powtórzyła.

Na pochwałę rzeczywiście zasługuje orkiestra berlińska p. Maydera, w ogrodzie „Bagatela” urządzająca bardzo często koncerty symfoniczne. Na jednym z tych nader zajmujących koncertów wykonano symfonię E-mol Czajkowskiego, w Warszawie nigdy dotąd niegraną. Rzecz należy do utworów nader pięknych i posiada wielkie zalety, jako dzieło symfoniczne. Utrzymana jest ta symfonia w charakterze od początku do końca, jest *stylowa*, ma w sobie formę wytworną i polot prawdziwie artystyczny. Z całej symfonii na największą uwagę zasługuje *Andante*, którego temat uwydatnia waltornia; również piękny jest finał.

Wykonanie symfonii nie pozostawiało nic do życzenia: orkiestra, kierowana umiejętną ręką dyrektora, interpretowała całe dzieło z prawdziwym artyzmem.

Oprócz tego na owym wieczorze orkiestra wykonała pastorałną symfonię Haydna, uverture z opery „Fanka” Cherubini’ego i uverture do „Manfreda” Schumanna.

Innym razem słyszeliśmy „Akademicką uverture” Brahmsa, „Preludye” — symfoniczny poemat Liszta, uverture Goldmarka „Penthesilea,” suite pierwszą Griega do poematu Ibsena „Peer Gynt” — wreszcie „Marsz węgierski” Berlioza.

Wspaniale wypadły w tym czasie koncerty Moniuszki w „Bagateli” i „Dolinie Szwajcarskiej.” Dzięki energii, zapobiegliwości i staraniom prezesa sekcji moniuszkowskiej w towarzystwie muzycznym p. Władysława Zahorowskiego koncerty te przysły do skutku i wypełniły się programami świetnymi. Cały szereg nieśmiertelnych dzieł Moniuszki przemawiał do nas urokiem niepospolitym i budził głębokie uczucia. Dyrektorom orkiestr zagranicznych za wykonanie tych programów należy się szczerza podzięką.

Niedawno dyrektor Mayder urozmaicił programy koncertów występami solistów, którzy stanowią zachętę dla szerszej publiczności do tłumnego uczęszczania na te artystyczne wieczory. Usłyszeliśmy w ten sposób w zeszłym tygodniu w Bagateli utalentowaną pianistkę, panią Hochedlingerową, która z towarzyszeniem orkiestry wykonała koncert Esdura Beethovena; oprócz tego grał solo na skrzypcach p. Lunbock. Wspaniale w dalszym ciągu wypadła uverture z „Egmonta.” Słowem — koncert był prawdziwie artystyczny.

Z zagranicy dochodzą wieści, iż na sezon zimowy przygotowywa się cały szereg nowych dzieł muzycznych. Tak np. Leonecavallo, który spędza lato w swej przepysnej willi nad Lago Maggiore, pracuje obecnie nad dwoma utworami; pragnie on wystawić dzieło p. t. „La Bohème” pod koniec roku, drugi zaś utwór, p. t. „Roland” przeznaczony jest na otwarcie roku przyszłego. Massenet znowu pisze wielkie kompozycje, między innymi „Grizeldę” i „Safonę,” które ujrzą światło kinkietów w operze komicznej.

Autor powszechnie znanego walcu do śpiewu: *Il Baccio*, Luigi Arditi, obchodzi wkrótce 60-letni jubileusz swej działalności artystycznej na polu gry skrzypcowej. Arditi był cudownym dzieckiem. Swoją karierę artystyczną rozpoczął w 14 roku życia w Medyolanie; mając lat dziewiętnaście (w r. 1841) wystawił pierwszą operę p. t. „I briganti.” Jubilat zamierza w uroczysty dzień rocznicy pięćdziesiątej swych ślubów ze sztuką wydać tom pamiętników.

Wdowa po twórcy „Hamleta,” Ambrożyemu Thomasie, przysłała konserwatorium paryżkiemu zapisane przez męża partytury. Są między nimi: „Guerillero,” „Songe d’une nuit d’été,” „Tonelli,” „Caid” (bez uverture), „Cour de Célimène,” „Psyche,” „Carnaval de Venise,” „Roman d’Elvire,” „Mignon,” „Hamlet,” „Françoise de Rimini” oraz balet „Tempête.”

Fundacja Verdi’ego w Medyolanie, schronisko dla weteranów opery, szybko się wznosi. Budynek znajdować się będzie w parku; wysoki na dwa piętra pomieści w sobie 200 pokojów i wielką salę koncertową. Koszta wraz z urządzeniem wewnętrznym wyniosą milion lirów. Na utrzymanie pensjonarzy wyznaczył Verdi rentę roczną w wysokości 150,000 lirów. Sędziwy mistrz co tydzień przyjeżdża z Genui, aby śledzić postęp robót.

Tak kończy swój żywot wielki kompozytor, który melodyami, z duszy wysnutymi, napełnił świat cały — a po śmierci pragnie pozostawić pamięć wieczną wśród tych, co jego melodye umysłowali światu.

A. Dobrowolski.

DLACZEGO?

Napisał

Ignacy Kotwicz.

(Dokończenie).

Nazajutrz skoro świt dążyła Marylka do pobliskiego kościołka.

W kościele było prawie pusto, przy drzwiach klęczał ślepy żebrak, w ławce siedziało kilka kobiet, a wikary odprawiał mszę przed ołtarzem Serca Jezusowego.

Marylka ukłękła w kątku i modliła się bardzo gorąco; twarz zakrywała dłońmi, to znów z wyrazem serdecznego błagania podnosiła ku Zbawicielowi, który z najwyższą miłością wyciągał ręce ku ludziom, zdając się mówić: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i jesteście obciążeni, a ja was ochłodzę.”

Skończyła się msza, w kościele zapanowała cisza głęboka, przejmująca, dziewczyna modliła się jeszcze, wreszcie pochyliła głowę aż ku ziemi, przeżegnała się i wyszła.

Nagle drgnęła.

Tuż przy drzwiach stał on.

Na głęboki jego ukłon odpowiedziała skinieniem głowy — szli czas jakiś w milczeniu, Marylka nie była przygotowaną na to spotkanie, chciała się uspokoić.

— Taki cudny poranek, — zaczął on pierwszy, — może zechce pani wracać tą dalszą drogą, pod lasem?

— Dobrze, — odpowiedziała, a serce jej biło gwałtownie, dostrzegła bowiem w nastroju jego niezwykłą jakąś powagę i uroczystość.

Gdy zeszli z głównej drogi, zatrzymali się pod lasem, on ujął jej rękę i zaczął serdecznie:

— Wczoraj powiedziałem pani, że ja kocham tak, jak tylko kochać jestem zdolny i zapytałem, czy zechcesz zostać moją żoną; prosiłem zarazem, abys mi pani dzisiaj dała odpowiedź — czy mogę mieć nadzieję?

Nie odebrała mu ręki, nie spuściła wzroku z jego pięknej, szlachetnej twarzy — tak gorąco prosiła Boga o siły, że nie odmówił jej pomocy Swojej w tej chwili.

— Dobrze, — odpowiedziała drżącym nieco głosem, — zdaje mi się, że kocham pana i zostanę...

Zawahała się nieco a gwałtowny rumieniec oblał jej twarz całą i szyję.

— Dokończ, Marylko, — prosił serdecznie, chociaż w głosie jego czuć było stanowczość i nawyknienie do rozkazywania.

— Zostanę pańską żoną, — wymówiła.

— Dzięki ci za to, dziewczeczko jedyna — i z głębokim uczuciem rękę jej do ust przycisnął, następnie wsunął sobie tę rączkę pod ramię i szli razem.

Na dziewczynie widocznym było pewne oniesmielenie, on jednak przemawiał tak serdecznie i delikatnie, że i ona wreszcie odzyskała dawny humor i swobodę, a gdy doszli do domu oswoiła się już całkiem z nowym położeniem — narzeczonej!

W kilka dni potem odbyły się uroczyste zaręczyny młodej pary, a następnie narzeczonemu odjechał do stolicy, gdzie miał być obecnym wystawieniu swojej opery.

Wyjątki z dziennika Marylki.

20 Października.

Dni kilka tylko — a tyle zmian na około mnie i — we mnie! Z gwaru i ruchu, który zapełniał nasz dworek, zostało tylko wspomnienie, bo goście mili rozjechali się w różne strony.

Patrzę na mój ogródek — i w nim wiatr postrząsał już wszystkie liście z drzew, które stoją nagie i smutne, a ziemia została pokryta czerwono-żółtą powłoką, jakby pysznym, miękkim dywanem. Słońce odbija się w rzece i jasnymi smugami światła złoci pola, zdala słyszę jeszcze pieśń pastuszą, ostatnią może, bo śnieg lada chwila spadnie i zagrzebie wszystko — i pieśni ucihną...

Niezmiennie lubię taki cichy, jasny, jesienny dzień! Wiatr lekko po gałązkach i liściach spadłych przeciąga, budząc w nich uspięne echa jakichś dalekich pieśni — niby w harfie Eola... Może to jego „Amata,” którą się teraz rozkoszują mieszkańcy stolicy...

24 Października.

Jakie to dziwne jednak, że taki jeden obcy, nieznaną człowiek przychodzi i naraz zamąca spokój duszy, porywa serce, a gdy odejdzie, zostawia po sobie smutek i tęsknotę! Czyżbym ja przypuszczała jeszcze przed dwoma miesiącami, że to właśnie mnie spotka? A przecież tak, na palcu mam pierścionelek, na którym brylantowemi głoskami wypisane czytam imię „Jan” — i jestem narzeczoną, a za rok mam zostać Jego żoną! Zdaje mi się, że to chyba sen, dziwny jakiś, piękny bardzo, ale tylko sen — nie więcej, potem nastąpi przebudzenie... Ach! boję się tego! Po co jednak truć się jakimś niemądremi myślami, teraz on mnie kocha, ja jego kocham, jestem jego narzeczoną — i koniec!

26 Października.

Czy ja go kocham? Tyle razy pytał mnie o to, tyle razy w listach prosił, abym mu jak najwięcej o tem pisała — a jednak — ja sama nie wiem...

Myślę o nim ciągle, we śnie nawet widzę jego postać i tę cudownie piękną głowę, oczy głębokie a takie jakiegoś przenikliwe, iż zdawało mi się zawsze, ilekroć na mnie patrzył, że mię przejrzał na wskroś, że odgadł chyba najskrytsze myśli moje...

Gdy kto imię jego wymówi przy mnie czuję, że czerwienię się niemiłosiernie i uciekam wtedy co prędzej z towarzystwa, bo — nie znoszę przymówek!...

Nie umiem się tylko pozbyć pewnej nieśmiałości

względem niego — zawsze zdaje mi się, że to, co ja mogłabym mu powierzyć z myśli i marzeń moich jest takie małe, także błahel!—Jego, znakomitego artystę, którego imię z zachwytem świat powtarza, nie mogą chyba zajmować także drobiazgi!

A przecież pokochał mnie, brzydką, niemądrą gaskę wiejską, chociaż na jedno jego słowo poszłyby za nim najpiękniejsze, najbogatsze, najmądrze! Tego zrozumieć nie mogę, co mu się mogło we mnie podobać?

Może być, że tu, gdzie nie było nikogo więcej, dobrą byłam, ale gdy się rozejrzy znów w swoim pięknym świecie, gdy go otoczą piękne panie, pożałuje pewnie, że mi pierścionek przysłał! — może zażąda jego zwrotu... — Nie, nie chcę więcej pisać! — Iza mi upadła na papier i będzie teraz plama...

A wszakże i ta książeczka, w której zapisuję myśli swoje, to od niego! — Gdy mu powiedziała, że piszę czasem to, co mi się po głowie kręci, przysłał mi tę książeczkę w błękitny safian oprawną, ze ślicznym, ciemnym bratkiem na wierzchu — bo to mój kwiat ulubiony!

Prosił mnie przytem, abym zapisywała starannie dzień po dniu wszystko o sobie, a potem jemu przysłała! — No, tego nie zrobię nigdy! — Pisać będę, bo teraz więcej niż kiedykolwiek potrzebuję komuś zwierzyć się z tem, co mi mózg czasem rozsądza! — Mówić mi o tem trudno jakoś, a pocziwy papier przyjmie wszystko cierpliwie, co tylko zechcę tu nabazgrać!

6 Listopada.

...Jaki on dziwnie delikatny! — Jak się zniżał do mego umysłu, jak się starał wyjaśnić mi, czego nie rozumiałam, jak cierpliwie słuchał moich dziecinnych krytyk tych dzieł, które mi dawał do czytania!

Doprawdy, z całej postawy jego, z każdego ruchu niemal przebija nadzwyczajna, niezmierna dobroć! Słyszę dzwonek, to poczta — może co dla mnie przwiezie!

Nie omyliło mnie przecucie, mam list i jakąś przesyłkę — serce mi bije tak mocno — na kopercie widzę jego pismo!

I rozpłakałam się na dobre! — Ależ to doprawdy, jak można o mnie tak pisać — tylko jego nieskończona dobroć mogła odkryć we mnie jakieś przymiotły!

Przepiszę tu ten list, bo jego pismo będę nosiła zawsze przy sobie, aby w każdej chwili czuć i móc się przekonać, jak on myśli o mnie i jak bardzo mnie kocha!...

„Najdroższa, jedyna dziewczeczko moja! — Ot i miasiać upłynął już, gdyśmy się rozstali, a mnie się zdaje, że to wieki całe! — Dla serc tęskniących czas doprawdy żółwim krokiem się wlecze. Zapełniam go jak mogę, pracuję dużo — zacząłem pisać nową operę, o której chciałbym z Tobą pomówić. — Czemuż Ciebie nie mam tu, przy sobie — takby nam dobrze było w tym pokoju — i Tybyś ślicznie wyglądała, mój kwiatku, na tle jasno-niebieskiego obicia! — Teraz patrzę tylko na mnie Twoje cudne oczęta z fotografii, szeroko otwarte, jakby zdziwione, że je tu zamknięto w ramki! — Oczyma duszy gonie Twoją wiotką postać, jak przebiega z kluczami do spiżarni, to znów jak w białej, dużej chustce na głowie obiera gąsienice z kapusty, albo jak w ogromnym białym fartuchu smaży konfitury w kuchni, chociaż z tego ostatniego sanctuarium tak sromotnie wypędzony zostałem! — Widzę Cię znów przez gałęzie drzew siedzącą w pokoju Twoim przy stoliku nad dużą księgą, — co Ty czytałaś wtedy, filozofie mój kochany, że czółko Twoje jasne chwilami się chmurzyło, to znów rozjaśniało, — a gdy Cię nieostroźnie przestraszyłem szelestem liści, podkradając się pod Twe okienko, zamknęłaś prędko książkę

i schowałaś, a ja, patrząc na Ciebie, nie myślałem nawet pytać, widok Twój upoił mnie zupełnie!...

Jak to jednak brzydko, że rok cały każesz mi czekać, jaskółeczko moja, zanim raczysz zlecieć do gniazodka, które Ci uślałem! — Głupstwo wszystkie wyprawy — zaczęę błagać rodziców Twoich i ciocię, a może błagania moje zmiękczą ich i oddadzą mi Cię wcześniej! — Czy Ty sama jednak zechcesz zgodzić się na to?...

Czy ja zgodzić się zechcę? — Ależ tak, tak, bo On mnie kocha na prawdę, jeżeli wśród wszystkich otaczających Go świetności pamięta o takich drobiazgach do mnie się odnoszących

Wierzę mu, wierzę z głębi serca i przyrzekam, że nigdy wątpić nie będę!

A teraz zastanawiam się nad tem, że możeby się na prawdę ucieszył, gdybym Mu ten dziennik posłała! — Cóż znowu! Takie okropności tu popisałam!

Spróbuję jednak pisać wyłącznie dla Ciebie, mój Janku! Co ja napisałam!... Przecież On od dawna prosił, aby przestał być dla mnie obojętnym, zimnym, dystygowanym „panem“ a został, „kochanym Jankiem!“

O! że kochany, to kochany!

I takiego człowieka jabym się miała obawiać? Otóż poszłę Mu ten dziennik bez sensu, niech mi wytłómaczy, dlaczego mnie właśnie pokochał, a potem — a potem niech robi co chce, niech przyjeżdża i niech mię bierze, jak swój!...

Bo i mnie bardzo, bardzo tęskno za nim! Nie mnie nie zajmuję, żadnej czynności dawniejszej porządnie nie wykonuję, nawet gdy się dziewczęta moje zgromadzą na lekcję, nie idzie to tak dobrze jak dawniej! I modlić się nie umiem — nie, owszem, ale jedna tylko modlitwa jest szczerą i z głębi serca płynie — gdy się modlę za Niego...

Boże mój! wszak ja gotowa jestem wszystko porzucić, opuścić moją rodzinę, dom, zajęcia — i iść za obcym człowiekiem, który dla mnie stał się wszystkim, bo Go kocham, bardzo, bardzo kocham!...

Dzień był pogodny ale mroźny, śnieg ubity skrzył pod kopytami koni i saniami, w których siedział młody mężczyzna, otulony w futro.

Zdaleka już widniał dwór Łotoszański; dzwonki brzęczały głośno, a gdy sanki zatrzymały się przed domem, mężczyzna wyskoczył tak szybko, jak mu tylko na to ogromne futro pozwalało i na ganku spotkał czekającą na niego Marylkę. Ujął obie jej ręce i przycisnął namiętnie do ust, chociaż wąsy jego mróz lekko zabielił.

W oczach dziewczyny błyszczały łzy szczęścia — wprowadziła Jana czempredzej do pokoju, a gdy on zrzuciwszy futro, oddawał jej piękne safianowe pudełko, uściśnęła silnie dłoń jego i całą zarumieniona szepnęła:

— Najmilszem i najlepszem życzeniem dla mnie jest twoje przybycie.

Objął ją wtedy ramieniem, przycisnął do swej szerokiej piersi i ust jej szukał — ona jednak usunęła się lekko całą zarumieniona, a korzystając z tego, że w tej chwili weszła jej matka, wybiegła z pokoju.

Wieczorem zostawiono ich razem przy kominu — usiedli bliźutko obok siebie, a artysta ująwszy dłoń dziewczęcia, mówił:

— Najpierw, dziewczeczko moja, raz jeszcze dzięki ci za dzienniczek, bo on dokładniej, głębiej dał mi poznać skarby w serduszk twojem ukryte. Dziwisz się, dlaczego ciebie właśnie pokochałem i chcesz, żebym ci to wytłómaczył. Widzisz, dziecino moja, to jest prawie niepodobieństwem.

Sercu rozkazać nie można kochać czy nienawidzić — koło tysiąca twarzy człowiek przejdzie, mi-

nie je obojętnie, aż zatrzyma się przed tysiączną pierwszą, bo ta tysiączna pierwsza dla niego przeznaczona — może.

Co mnie do ciebie przykuwa? oto jakiś szalony pojęty, o którym ty sama nie wiesz, twoja prostota prawdziwie gołębia, dobroć, wesołość dziewczęca i dziwna twoja spokojność i pogoda umysłu.

Taką jesteś i taką cię z głębi serca kocham i zawsze kochać będę.

Ty nie znasz mnie jeszcze dobrze dziewczeczko, i nie wiesz, jakie burze szalone targają czasem moją duszą; stykam się z ludźmi różnej wartości moralnej, stanowisko moje naraża mnie na tysiączne zawiści, zazdrości, drobne ukłucia, pochlebstwa niecne, które czasem więcej oburzają niż najstraszniejsze nagany, a gdy mimowoli ulegnę pod wpływem różnych okoliczności i gorycz zaleje mi serce, potrzeba mi wtedy kogoś bardzo kochanego, u kogo bym mógł znaleźć pomoc, uspokojenie — a wierzę głęboko, że to właśnie znajdę u ciebie, bo ty mnie, nigdy nie zawiedziesz!

Nazywasz siebie „niemądrą gaską wiejską“ moja jedyna dziecino, tyś doprawdy zgłębiła większą mądrość życiową niż te, które zasiadają uniwersyteckie ławy!

Patrzyłem na twoje ciche, pracowite życie, widziałem, że zawsze jesteś dobrą córką, dobrą obywatelką, a teraz wiem, że będziesz najlepszą żoną i — matką, bo ideałem twoim jest wypełnienie jak najwierniejsze przyjętych obowiązków!

Widzisz, Marylko, my mężczyźni wszyscy zgadzamy się na to, że kobietom, pracującym dla nauki należy się szacunek i uznanie, ale dla siebie chcemy takich towarzyszek, na któreby się można zdać we wszystkich okolicznościach życia, któreby miały umysł rozwinięty, z którymi moglibyśmy dzielić wszystkie myśli i pragnienia, słowem, w żonach naszych pragniemy widzieć zarazem naszych najlepszych przyjaciół.

W takich tylko warunkach może istnieć szczęście w rodzinie, bo niema tu mowy o „panowaniu“ i „uległości“, ale o zupełnej równości dwojga ludzi, którzy z ufnością podają sobie dłonie, bo wiedzą, czego się mają spodziewać wzajem od siebie, czego od nich żąda społeczeństwo. Kobieta uczona, specjalistka, z konieczności będzie się więcej zajmowała nauką niż domem, niż rodziną, a wtedy w coż się obróci ład domowy, gdzie spokój rodziny, a więc — gdzie szczęście?

Przebacz mi, ukochana, to kazanie, lecz chciałaś wyjaśnienia, a wiek mój i pewne doświadczenia życiowe pozwalają mi na to; a teraz daj mi rękę, jako zadatek miłości i przyjaźni twojej — a ufam nieskończone Bogu, że nas nie opuści.

Wstępujemy w nowe życie z zupełnem zaufaniem ku sobie, każde z nas wie, co daje i co bierze, w dobrej więc czy złej doli pozostaniemy sobie zawsze wierni.

Dziewczyna była wzruszona głęboko, chwilę siedziała w milczeniu, wreszcie odpowiedziała:

— Tak, masz zupełną słuszość, ja tak samo myślę — a ty mi zawsze wytłómaczysz, czego nie będę wiedziała, udzielisz rady — prawda?

— Tak, — odparł, — będziemy się zawsze wzajemnie dopełniali i doskonaliли.

K O N I E C.

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza“ dołącza się: ark. 13-ty powieści p. t. **Fata Morgana**, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego.

TREŚĆ: Ś. p. Marya Paprocka, przez K. G. — Pogawędka, przez ?? — Elegja, przez Maryę Ohluską. — **Kedy droga?** Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — **Wiadomości z higieny i medycyny popularnej.** O odżywianiu, przez Stanisława Kamińskiego. — **Ruch muzyczny**, przez Adama Dobrowolskiego. — **Dlaczego?** Napisał Ignacy Kotwicz. (dokończenie).

Dodatek obejmuje: **Fata Morgana**, powieść, przez E. Wernera. Przekład z niemieckiego, ark. 13-ty. — Przegląd mód. 37 wzorów i robót z opisem Sekretu gospodarskie. — Dyspozycja stołu.